

TYDZIEŃ KOBIECY

Zawód, w którym nikt kobiety nie zredukuje

Praca pielęgniarek na prowincji

Wszędzie jest za dużo kobiet. Wszędzie „zabierają miejsce bezrobotnym mężczyznom”, wszędzie grozi im redukcja...

Ale jest zawód, w którym kobiety są niezastąpione, w którym ręce kobiece są ciągle potrzebne. Myślę o zawodzie pielęgniarki.

Z pośród wielu dziedzin pracy pielęgniarek, najważniejsza jest ich praca pionierska na prowincji. O tej pracy mówiła ostatnio na zjeździe pielęgniarek p. A. Sawczyńska.

W interesującym referacie, opracowanym na podstawie ankiety, na którą odpowiadały pielęgniarki z prowincji, z miasteczek i wsi, była mowa o życiu pielęgniarek, o ich pracy i wreszcie o stosunku społeczeństwa do działalności, jaką prowadzą pielęgniarki.

Znany jest fakt, że praca pielęgniarek na prowincji jest ciężka i trudna. Teren pracy ma nie raz w obwodzie kilkadziesiąt kilometrów. Chcąc utrzymać kontakt z pacjentami ośrodków zdrowia, lub pospieszyć z nagłą pomocą, pielęgniarki długą podróż muszą odbywać na piechotę, rowerem, albo chłopskim wozem. Normalny dzień pracy trwa 10 do 12 godzin i obejmuje wywiady po domach, prace w ambulatoriach i żmudną pracę biurową (raporty, statystyki itp.).

Wielkość pielęgniarek stwierdza przeciętnie pracę. Wpływa na to brak wykwalifikowanej pomocy, a często brak pomocy w ogóle. Poza tym niewielkie wynagrodzenie, przeciętnie 150 zł, nie pozwala na stworzenie sobie wystarczających dla zdrowia warunków życia.

Wreszcie często praca staje się trudna i ciężka dlatego, że brak należytego do niej przygotowania. Młode pielęgniarki, które wychodzą ze szkół zawodowych, rozpoczynają swoją działalność nieprzygotowane. Praktyka, jaką przechodzą w ośrodkach miejskich, przeważnie w ośrodkach dużych miast, nie ma nic wspólnego z pracą, którą potem podejmują na wsi. Nie wynoszą np. z tej praktyki wystarczającej rutyny ginekologicznej. „Babka” wiejska ze swoimi zakazanymi metodami jest nadal niezastąpiona przy porodach, z którymi pielęgniarki nie umiają sobie radzić.

Niektóre z pielęgniarek wyjeżdżających na prowincję — w ogóle wsi ani ludności wiejskiej nie znają. Niektóre poprostu wsi nie lubią.

Wszystkie razem wymienione warunki czynią życie i pracę pielęgniarek na prowincji męczącą. Wiele z odpowiadających na ankietę daje wyraz ogarniającemu je znużeniu, nawet wyczerpaniu.

Piszemy o tym dlatego, że pewne rzeczy można zmienić i poprawić. Chodzi w pierwszym rzędzie o właściwe przygotowanie do pracy. Na wieś, a przede wszystkim na wieś kresową, muszą wyjeżdżać pielęgniarki z większym doświadczeniem zawodowym i z jaką taką znajomością terenu.

Trochę trudniej wygląda sprawa z niezbędną pomocą w większych ośrodkach. Na to znowu potrzebne fundusze, i znowu na to, jak na wszystkie inne ważne potrzeby, nie ma pieniędzy. Nie trzeba się jednak łudzić, że tym się zajmie rząd. Zbyt długo kwestie opieki społecznej leżą prawie nieknięte. Tylko samodzielnie i zdrowa akcja społeczeństwa może wpłynąć na rzeczywistą poprawę. Zresztą istniejące już ośrodki finansowane są właśnie przez niezliczoną ilość instytucji i organizacji społecznych. Wszystko jednak dotąd odbywa się w bardzo wąskich, ciasnych granicach. Społeczeństwo naogół nie docenia znaczenia akcji zdrowotnej na wsi. Na wielu terenach ośrodki założone traktuje się ja-

ko „zło konieczne”, inne tereny leżą odłogiem, nieknięte. A gruźlica wśród dzieci chłopskich i dzieci małych brudnych miasteczek przybiera coraz większe, coraz okropniejsze rozmiary. Śmiertelność niemowląt i śmiertelność kobiet schorowanych i zrujnowanych ciągłymi sztuczkami „babelek” wzrasta.

Pieniądze muszą się znaleźć. Akcja zdrowotna na prowincji postępować będzie napewno na przód. W ośrodkach walki z gruźlicą, w stacjach opieki nad matką i dzieckiem potrzebne będą dziesiątki, setki kobiet. Już teraz zresztą zapotrzebowanie jest większe niż liczba dyplomowanych pielęgniarek.

Ale praca nadal będzie ciężka. Nie zmienia się prędko warunki życia na wsi, nie prędko poprawi się komunikacja, a przede wszystkim nie prędko zmienia się sami ludzie, z którymi trzeba pracować. Jeszcze przez długie lata działalność pielęgniarek będzie natrafiać w terenie na opór, utrudniający pracę.

Zawód ten mogą więc wybierać te kobiety, które rozumieją, jak ważna czeka je praca, i które widzą całe jej piękno. Te, które pójdą do tej pracy tylko dla zarobku, załamają się i wycofają b. prędko, a praca ich będzie niewiele warta.

R.

Atak sanatorek na wieś Plany p. Moraczewskiej

W Warszawie odbył się zjazd Stowarzyszenia Samopomocy Społecznej Kobiet. Jest to organizacja, powstała po rozłamie w Związku Pracy Obywatelskiej Kobiet. Tłem rozłamu, jak wiadomo, była długotrwała niezgoda między dwoma „sanacyjnymi”, „führerkami” p. p. Z. Moraczewską i b. posłanką Jaworską. Stowarzyszenie Samopomocy Społecznej Kobiet kierowane jest przez p. Z. Moraczewską.

Przemówienia i ogłoszona deklaracja ideowa zawierały cały szereg frazesów, używanych z zasady we wszystkich wystąpie-

niach sanacji na wszystkich terenach, dla zamaskowania pustki ideowej. Znamiennie było jedynie oświadczenie o dążeniu do „równości wszystkich obywateli”.

Oświadczenie to dowodzi, że pani Moraczewska i jej zwolennicy nie wyznają zasady „elity”. Szczegółem, na który w związku z zebraniem wspomnianej organizacji trzeba zwrócić uwagę, jest fakt, że organizacja zamierza rozszerzać swoje wpływy na wsi za pośrednictwem sanacyjnych kół Gospodyń Wiejskich i tych organizacji młodzieży, które uda się opanować.

Gospodyn'om na ucho

Musztarda z jabłek lub gruszek

pół kg. kwaskowych jabłek, 5 dkg. żółtej gorczycy w proszku, 2 dkg. cukru, 2 dkg. soli, ocet i korzenie.

Jabłka dobrze upiec i — poki gorące — obrać ze skórki, a następnie przetrzeć przez sito. Wypaść do tego gorczyce, sól, cukier. Następnie dolać tyle przegotowanego z korzeniami i o studzonego octu, aby masa wymieszana miała gęstość kaszki ugotowanej na rzadko.

Musztardę tę układać w słoiki, które należy zakorkować szczelnie lub zalać pechem czy parafiną.

Zamiast jabłek można wziąć na tę musztardę dojrzałe gruszki, ugotować je na miękko w małej ilości wody, wy-

łożyć na sito, a gdy ociekną, obrać i przetrzeć przez sito. Wymieszać z dodatkami tak, jak jabłka i tak samo przechowywać.

Musztarda z jabłek może w zimie służyć jako bardzo smaczny i oryginalny dodatek do zimnych mięs.

Kisiel z surowych jabłek

60 dl. jabłek, 5 dk maki ziemniaczanej, skórka cytrynowa, 8 dk cukru.

Aromatyczne jabłka opłókać, obrać zetrzeć na tarce, dopełnić wodą do pół litra objętości, podgrzać. Makę ziemniaczaną rozmieszać z 1/8 litra wody, wlać do jabłek, mieszać zagotować i odstawić. Dodać cukru, otarą skórkę z cytryny, włożyć do szklanej kompotiery i zastudzić. Podawać z sokami owocowymi, rozrzedzonymi wodą.

Pani moda mu głos

Jesienne kolekcje

Tegoroczna moda jesienna jest niepokojąca. Ryzykowne, szpiczaste kapeuszki a la głowa cukru, gwałtownie rozszerzające się kłose płaszczy, sute fałdy sukien — komu w tym będzie do twarzy? Dziwactwa mody, które lansują beztrosko domy Worth'a i Patou dobre są dla ekscentrycznych i bogatych Paryżanek czy Amerykanek. Polki (a raczej ich kieszenie...) nie lubią nadmiaru fantazji w ubiorze; to często grozi śmiesznością — a zawsze zmusza do zwiększonych wydatków: niepodobna np. nosić b. fantazyjnego kapelusza przez trzy miesiące dzień po dniu.

Warszawskie domy mody wybrnęły jakoś szczęśliwie z trudności prezentując modele jesienne o liniach harmonijnych, barwach spokojnych — suknie, płaszcze, kalesze skomponowane według ostatniego krzyku mody — a mimo to nie rażące ekscentrycznością.

Bardzo ładnie zaprezentowano w tym roku kostiumy narciarskie. Chłopięce pumpy z grubej wełny, kurki sportowe z wykładanym kołnierzykiem, zapinane dwurzędowo na guziki. Modna kombinacja: spodnie w kratę a bluza gładka w kolorze tła — lub odwrotnie bluza w kratę a spodnie jednobarwne. Najodpowiedniejsze kolory — brązowy, rdzawy, granatowy, ciemno-szafirowy. Mała, miękka czapeczka z pomponem dodaje sylwetce pani młodzieńczego wdzięku.

Płaszcze modne są najrozmaitsze. Zasadnicza linia przewiduje obcisłą górę, wciętą w pasie, szerokie ramiona i szeroki kłosez dołu, lub — inny typ — luźne zupełnie plecy, materiał fałduje się począwszy od łopatek i układa w dole w dwie, trzy fałdy. Oryginalną nowością sezonu są baskinki na płaszczach, obszyte wąskim pasem płaskiego futra. Baskinka podniesiona z obu stron ręką tworzy oryginalny zarękawek — puszczone swobodnie opada jak fartuszek. Zwraca uwagę czarny sukienki płaszczy z przypinanym kołnierzem z karakułów w kształcie śliniaczki, związanym z tyłu w efektowną kokardę z czarnego atlasu. Kołnierza można odpiąć i zastąpić go w czasie mrozów puszystym lisem.

Sukienki przedpołudniowe są krótkie — do połowy łydek, skromne w linii i wykończeniu. Wysyłają zupełnie z mody „lingeries”, białe przybrania i kołnierzyki — ich miejsce zajęły dyskretne kokardki i wypustki z jedwabiu w ominiennym niż sukien kolorze, szklane guziki, ornamenty z barwnych koralików i kolorowej lub złoczonej skóry. Ładnie wyglądała sukienka barwy dojrzałych kasztanów z kołnierzykiem i paskiem ze złotej skóry i druga granatowa przybrana białą i ponsową wstążką cire.

Sukienki popołudniowe są rów-

nież krótkie — mogą być z miękkiej wełny lub matowego jedwabiu. Najczęściej czarne, przystrojone błyszczącym jedwabiem fioleowym — połączenie dystygowane lecz poważne, dla młodych panien niedopuszczalne. Śliczny był model czarnej, obcisłej sukienki przepasanej dwubarwną — fioletowo-czerwoną szarfą (bardzo efektowne lecz trudne zestawienie — trzeba uważać, by odcięcie się nie gryzły) — stanik gładki pod szyję, dookoła rozchodziły się promienie wycięte i podłożone czarnym tiulem. Ażury podkładane czarnym tiulem są w ogóle b. modne i dają duże pole do pomysłowości.

Toalety wieczorowe — wszyst-

kie niemal w tonach błękitno-liliowych, powłóczyście z trenami suto drapowane z tyłu lub z przodu — broń Boże z boku. Burzę oklasków zdobyła toaleta model Patou z leżącego się, liliowego jak wrześnie niebo brokatu w srebrne drobne supełki — z długim trenem i obnażonymi zupełnie plecami; druga błękitno-srebrzysta również z brokatu z sortie z szafirowego welouru. Dla młodszych panienek — b. odpowiednie i świeże dwie sukienki z tafty — błękitna z bufkami z drobnych różyczek z tego samego materiału popielato-niebieska pół-stylowa z pękiem olbrzymich ponsowych maków na ramieniu.

Alinette.

Nasze gawędy

Kredyt w sklepiku

„Książeczka” w sklepiku — to ulubiony system czynienia zakupów wśród pań gospodyń. Korzystają zeń szczególnie chętnie gospodynie, rozporządzające b. skromnymi środkami budżetowymi w przekonaniu, że kredyt miesięczny u sklepikarza ułatwia gospodarke i prowadzenie domu. Jakże się mylą!

Momentem krytycznym, który sprzyja postawieniu pierwszego kroku w kierunku otworzenia stałego kredytu u sklepikarza jest zazwyczaj spóźnienie wypłaty miesięcznego czy tygodniowego zarobku żywiciela rodziny. W domu brak zwykle zapasów leżącej gotówki — pomoc kredytowa sklepiku bardzo się wtedy przydaje. Rachunek zapłaci się później, za kilka tygodni — tymczasem nie odczuwa się nieregularności wypłacanych zarobków.

Wady takiej lekkomyślnej gospodarki wychodzą na jaw dopiero po kilku miesiącach. Okazuje się, że wydatki na życie są większe w okresie książeczkowej gospodarki niż w okresie czynienia codziennych zakupów w mieście. Zadużenie niewiadomo jak i kiedy wzrasta do rozmiarów katastrofalnych, niepodobna go spłacić z zarobków, wystarczających ledwie na zaspokojenie prymitywnych, doraźnych potrzeb domowych. Dlaczego tak się dzieje?

Wytłumaczenie jest proste. Sklepikarz, mając w ręku swego klienta liczy mu możliwe najwyższe ceny. Niekoniecznie lichwiarskie — ale w każdym razie według najwyższej granicy cen rynkowych. Ułatwia mu to niebawomy chaos i rozpiętość cen na artykuły pierwszej potrzeby. Gospodyni związana ze sklepem wie-rzycielskim nie może już szukać tańszych źródeł zakupu, różnych „wyjątkowych okazji”, które prowadzi do dużych oszczędności w budżecie domowym. Chociaż wie, że dostałaby np. jajka po 8 gr. w

sklepiku nabiałowym na sąsiedniej ulicy — płaci je po 9 gr. w swoim sklepiku, ponieważ ta suma i tak idzie na miesięczny rachunek — na czynienie indywidualnych zakupów zwykle już nie starcza pieniędzy. Ponadto — jakże łatwo się skusić i kupić więcej produktów niż potrzeba, wziąć świeżej szynki czy paczkę herbatników, które „właśnie nadeszły”. Kiedy nie liczy się pieniędzy z dnia na dzień, nie płaci się od razu — zakupy czynione są mimowoli bardziej hojnie i lekomyślnie, niżby to z możliwości finansowych gospodyni wynikało.

W obronie sklepikarza trzeba nadmienić, że kredyt miesięczny, ma swoje złe strony i dla niego. Wycofanie większych zapasów gotówki z małych obrotów handlowych utrudnia zakupy hurtowe, utrudnia uczciwą i sprawiedliwą kalkulację cen artykułów żywnościowych. Z konieczności sprowadza się towar tańszy, goręjszy i sprzedaje go po cenach wygórowanych, trzeba bowiem jakoś zdyskontować sumy uwięzione u książeczkowej klienteli.

Reasumując, powiedzmy sobie otwarcie: od kredytu sklepikowego uzależniamy się tem silniej, im słabsze są nasze możliwości płatnicze; procent od tego kredytu płacimy w postaci nadwyżek cen, pobieranych za artykuły żywnościowe. Przed przeplaceniem artykułów pierwszej potrzeby nie możemy się bronić wtedy z dwóch przyczyn: z powodu nie możliwości korzystania z tańszych usług konkurencji, nie udzielającej kredytów i z powodu chaosu cen na rynku, co zapewnia sklepikarzowi bezkarność i samowolę w ustanawianiu cen każdego towaru.

Gospodynie świadome zasad racjonalnego gospodarowania muszą zerwać z systemem książeczek sklepikowych, które wnoszą do gospodarstwa rodzinnego element rozprężenia i destrukcji.

M CHAŁ WSZERAD

18)

PANI PREZES i S-KA

Powieść obyczajowa

Niespodziewanie skrzyła w bramę, chwytając majora na gorącym uczynku obserwacji. Zacerwieńniętą się jak sztabak. Począł udawać, że poprawia pas. Przeszła mimo na pozór obojętnie, tak... ta sama klatka schodowa, na której mieszka Lola. Głupio mu było, ale cóż miał robić? Począł iść po schodach.

Nie — to już naprawdę zaczyna być zbyt komiczne! „Znajoma nieznajoma” zatrzymała się przy drzwiach oznaczonych numerem ósmym. Tam też zmierzał i major. Zadzwoń. Czekają oboje.

— Dobry wieczór!

— Ach!

„Znajoma nieznajoma” całuje się z Lolą. Świetna sytuacja! Ale Turawski nie wie w tej chwili, czy być zadowolonym, czy nie. Dawno już pragnął poznać swoją sąsiadkę „z góry”, ale nie w wypadku, w którym mogła mu zepsuć wieczór z Lolą. Patrzy na jedną na drugą. Lola najwyraźniej zła, tamta znowu zakłopotana. Ratuje wszystko konwenans.

— Jakże się cieszę Ireno! Jakże się cieszę majorze! — Ciągnie ich z udaną radością do pokoju. Pokój, a raczej pokój ma przyćmione światło, tapczan z mnóstwem poduszek, kwiat na stoliku.

Lola ratuje kłopotliwą sytuację, nie pozwalając nikomu dojść do słowa. Mówi wciąż, że się cieszy, że się dobrze składa, że pan pozna jej najserdeczniejszą przyjaciółkę...

— My się prawie znamy — rzuca Turawski.

Lola mruży oczy.

— Jak to: prawie?... —

Irena śmieje się.

— A bo mieszkamy w jednym domu.

— Doprawdy? A, to zabawne... — Major czuje, że Lolę wszystko jednak wcale nie bawi...

— Piękną masz suknię. Nie widziałam jej jeszcze.

Lola ponsowuje, jak złapana na czymś, coby chciała ukryć.

— ...a tak. Ładna...

— Nawet bardzo. Musi być i droga.

— Nie targ przecież Irko, nie mówmy o cenach. No i co? — zwróciła się do Lolę.

— Zadała pani najbardziej kłopotliwe pytanie. Chyba odpowiem równie kłopotliwie: i nic.

Cisza.

— No to ja znowu będę dokuczała: co słychać?

— Nie pozostanę dłużny: a co u pani?

Rozmowa się dziwnie nie klei. Nastrój sztuczny. Irena więc nagle ni z tego, ni z owego:

— Ja tylko na chwilę.

— Ależ posiedzisz — prosi nieszczerze, ale zbyt mocno Lola.

Turawskiemu przychodzi do głowy pewien pomysł, ratujący, jak mu się zdawało, sytuację.

— Po co mamy tu siedzieć. Wszyscy pójdziemy na dancing.

W tej chwili spostrzegł, że palnął jakieś ogromne głupstwo. Lola sponiewiała jeszcze bardziej, a Irena zrobiła t. zw. „duże oczy”.

— Ty chodzisz teraz na dancingi?

— Chodzę — głos Loli jest jakós dziwnie twardy — dla czegożbym miała nie chodzić?

— Myślałam, że ze względu na Kazika...

— Ach, jemu i tak nie tym nie dodam.

Dwie panny najwyraźniej brną w rozmowie, którejby nie pragnęły prowadzić. Więc major znowu.

— No więc — idziemy?

— Nie jestem przygotowana — mówi Irena.

— Zostajemy tutaj majorze. Czy to tak ładnie przyjdzie do kogoś i zaraz kuś dancinngiem?

Lola chce, ażeby zapomniał o umowie z przed kilku dni. Minuta za minutą ciągną się wolno, ach, jak wolno... Już chyba piętnaście... Jeszcze z pięć minut...

Turawski wstaje.

— Sądę, że po tej p i e r w s z e j wizycie pozwoli pani się odwiedzić — wyraźnie akcentuje „pierwszej”. Jest w tym usprawiedliwienie szybkiego pożegnania.

— Już pan idzie? Zobaczymy się chyba niedługo. Prawda?

Turawski zapewnia, że prawda i po chwili znajduje się już na schodach. Czuje jakby ulgę, że się to wreszcie skończyło, ale jest zły. Nie wie co robić z resztą wieczoru. Nagle postanowienie: wraca do domu.

Otwiera drzwi. Po pokoju kręci się jeszcze Gąsienica.

— Co to nie wyszedłeś?

— Jeszcze nie, panie majorze!

— To wynos się jaknajprędzej!

Gąsienica stuka obcasami i po chwili już go nie ma. Wie, że rozkazy trzeba spełniać jaknajszyciej...

VIII.

— Widzę, że przyszłam dzisiaj do ciebie najniepotrzebniej.

— Ależ!... — Lola ma wyraźnie łzy w oczach. Czuje, że w swojej pięknej sukni na tle ubogiego pokoiku wygląda po prostu śmiesznie. I nagle:

(D. c. n.)